

Człowiek z Kargowej

Ja, Stanisław Kaczmarek jestem starym człowiekiem. Moje siedemdziesiąt osiem lat przyjdzie mi skończyć, jeśli dożyję, jeśli pozwoli Opatrzność, jeśli wytrzyma moje wyblakłe serce, dwudziestego września. To będzie wtorek, imieniny Ireny, wiem, pamiętam, bo moja nieżyjąca już żona miała na imię Irena. Mieszkam na ulicy Dolnej prawie całe życie, jak to się między ludźmi mówi, od zawsze. I tak to czuję. Bo jakże inaczej. Tu był mój ślub i wesele, a potem ślub córki Marzeny, narodziny moich dzieci, jej dzieci, śmierci moich rodziców i niedawno żony. Nie wspominając naszych kochanych piesków, kotów, ptaków, którym też czasem coś się przytrafiało. I znajdowaliśmy je leżące na ziemi martwe. Teraz, już niedługo, czas na mnie. Czego chcieć więcej.

Wszystko już było. Minęły frapujące pułtyramy przed weselami i robienie wina. Komu, z czego lepsze wyjdzie. Smakowaliśmy je i chwalimy się. W każdym roku to samo, tylko szczegóły inne. O tym są książki i wspomnienia, które może dać do czytania komuś ciekawemu pani Małgosia w naszej bibliotece. Tam jest napisane, jak to jakaś młoda kobieta przyjechała ze Szczecina tu do męża i pyta wieczorem w Kargowej kogoś na ulicy, gdzie jest plac Berwińskiego. Bo taki miała adres. I dostała, jak zaznacza, uprzejmą i dokładną informację. Cała jej opowieść, to jeden okruczek z życia. Inna kobieta, niezwykle ciepło pamięta księdza Meggera, bo bardzo pomagał ludziom po wojnie. Teraz chodnikiem idzie Elżbieta Łuczyńska i też wpisuje się swoją pracą w Nestle w historię. A chociażby to, co tu działo się z Żydami w czasie wojny. Poważniejsza sprawa, bo zakotwiczona w śmierci. Później wysiedlenia Niemców. Również bolesne, okrutne. Rosjanie. Młyn historii. A jak nas będą pamiętać? Komu, jaką daliśmy odpowiedź? Kto by zresztą chciał ustalać całą przeszłość, zwłaszcza moją. Jest ze mną codzienność, zwykłość życia, jakieś koleje losu, życie, dni za dniami, lata za latami. Raz lepiej, raz gorzej się działo. Ostre zimy, skwarne lata. Na wozie i pod wozem. Może, gdybym się nazywał jak urodzony w Kargowej Maciej Kozłowski, to teraz liczyłyby się moje zwykłe słowa i codzienne przejścia. Warte pióra nowego Bolesława Prusa. Byłaby wystawa, festiwal, portret na płótnie. Koktajle, przemówienia. A tak, jestem w cieniu, prawie bezimienny, anonimowy. Może i lepiej tak. Nikogo nie kosztuję. Byli różni ludzie na mojej drodze. Dobrzy i uczciwi, złodzieje i ciemnego pokroju.

Los rzucił tu mnie z rodzicami, zaraz po wojnie z Wielkopolski. Konkretnie z Szamotuł. I nie głaskał mnie po głowie. Jestem jednym z wielu, którym przypadło podobnie. Ale to nie ma znaczenia. Mieliśmy tam, w swoich stronach, wszyscy sobie życie układać. Ale co, dom się spalił, ledwo się uratowaliśmy. Osmolone belki, i to nie wszystkie zostały. Nic poza tym domem wielkiego nie było. Zwłaszcza pieniędzy na jego odbudowę. Brat mojego ojca Kazimierz mówi, że trzeba jechać szukać innego miejsca i życia. Tamto sprzedać. Wyrwać się z biedy. Więc wyruszyliśmy. I tak to na ulicy Dolnej w Kargowej zaczęliśmy mieszkać, żyć od nowa w tym domu jednym z ostatnich do zasiedlenia, oczywiście domu po Niemcach. Był wtedy czerwiec. W jakimś urzędzie wskazali go nam. Miałem jedenaście lat. Już chłopackiem byłem. Takie wtedy słoneczne dni. Łagodny wiaterek. Poleciałem do ogrodu, w ogrodzie znalazłem dojrzewające truskawki. Kilka zjadłem od razu. Wręcz chciwie rzuciłem się na nie. I zaraz z wielką, radosną wiadomością, z pełną garścią tych owoców, poleciałem do mamy, krzycząc, jakie są smaczne, słodkie. Potem jeszcze nowe garście zerwałem. I tak się najedliśmy do syta. Mamę nawet jakby smutek opuścił. Tego dnia nie zapomnę, naprawdę

nie zapomnę do ostatnich moich chwil. Może wtedy do nas doszło, tak dzisiaj to widzę, że ten dom, to miejsce, będzie dla nas przyjazne.

I wszystko zaczęło się toczyć mimo ruin, które zostawiła w różnych miejscach wojna. Ale teraz moje życie dobiega końca. Jeszcze trochę. Z okna pokoju właśnie mam widok na ten ogród. Widzę jego uprawy, kwiaty, warzywa. Jakie ciężkie już głowy słoneczników, pochyliły się mocno, jak ja czasem teraz się pochylam. Ojciec zasadził w tym ogrodzie drzewo, papierówkę, czarne porzeczki, maliny, w jakiś czas później, w miarę osadzania się w tym miejscu. Pracował w Kaszarni. Papierówką teraz cieszą się dzieci mojej córki, bo daje im pierwsze owoce. Spotykamy się w tym drzewie jakby wszyscy, cała nasza rodzina. Kilka pokoleń. Lubię na drzewo patrzeć przez okno. Na dzieci, które się cieszą owocami, jak ja kiedyś. Staram się wychodzić przed dom. Siadam na ławce jak dzisiaj. Nieopodal u Witów też wyszedł starszy mężczyzna, i na ławeczce usiadł. Przyjechał z Wrocławia do swojego brata żeby odpocząć, tu na obrzeżu Kargowej, gdzie wszystko dzieje się sennie, powoli, jak na wsi. Życiu to służy, bo mogą sobie uprawiać ogrody, coś wyhodować. Dzieciom też chyba tutaj lepiej. Cała trójka małych Witów wybiegła, dwie dziewczynki i chłopiec. Powietrze jest lepsze niż w centrum. Idzie ten lekki, latem, a czasem ciężki, jesienny wiatr, najczęściej od strony południa lub zachodu, czyli od pól, łąk i lasów. Przewiewa to miasteczko, Kargowę. Na dwóch słupach elektrycznych, po prawej stronie, zaraz jak się wjeżdża od strony Klenicy, usadowiły się bociany. Klekoczą wiosną, gadają ze sobą, o wszystkim i wszystkich, a potem wychowują swoje młode. Miłe to. Jakież to widok. Tak co roku. Niektórzy przychodzą tu z aparatami fotograficznymi i robią zdjęcia. Widać służy bocianom ta okolica. Mają stąd blisko na łąki, co są szeroko rozciągnięte wzdłuż Obrzycy. Młoda kobieta, ładnie ubrana, idzie z dzieckiem poboczem asfaltówki do stronę miasta. Pozdrawia mnie. Ja jej odpowiadam. Może to te bociany przyniosły jej taką ładną dziewczynkę Terenię.

Poszedłbym i ja różnym krokiem do miasta, już zaraz, jak ta kobieta, albo do lasu, na łąki, na most pomalowany na żółto, by patrzeć jak sobie tam w rzeczce woda płynie w stronę Odry, tak jak kiedyś chodziłem, popatrzeć jaka ryba gdzie rzuci się mocno, rzęsa się przy brzegu utrzymuje. Plusk usłyszeć. Powdychać zapachy od łąk poszedłbym w podskokach, błogości zaznać, usłyszeć ciszę. Skowronka. Kraczącą wronę. Poszedłbym. No, ale, co ja dzisiaj mogę. Już żyłem. Teraz tylko patrzę oddycham, słucham. Trochę spaceruję. Dalej i bliżej ze swoim pieskiem, który też zrobił się wiekowy, ale lubi mi ciągle towarzyszyć, a ja nie mam nic przeciwko jego obecności. On mi pomaga, a ja jemu, bo i on trochę słabowity. Dobrze i to na stare lata. Córka Marzena ciągle upomina bym na siebie uważał z jakimkolwiek wysiłaniem się. A ona wie, w końcu pracuje w Ośrodku Zdrowia jako pielęgniarka sporo lat, to więc ona już jak lekarz rodzinny prawie. Drewka nie przerąbię, bo mi nie wolno zamachnąć się siekierą, węgla nie naniosę do pieca zimą, bo jak po zawale z ciężkim wiadrem. Nie wolno. Tylko codziennie lekarstwa. Trzy razy lekarstwa. Inaczej już by mnie nie było na świecie. Sam lekarz dziwi się, że jeszcze mnie kostucha nie zagarnęła swoją kosą. Żartowniś kargowski z niego. Wszystko inne we mnie w miarę dobrze, wystarczająco jak na razie, tylko to serducho, głupia sprawa, staje na przeszkodzie. Ono nagle bieg mojego żywota zakończy. Wiem, wiem. Czasami o tym przychodzi mi zastanawiać się, zwłaszcza jak z Zamieściami ci jehowi przyjdą i zaczynają swoje, przedkładać dowody, argumenty, czytać w prawo i w lewo cytaty akurat dopasowane prawie na każdy dzisiejszy dzień i godzinę i sytuację, nie zawsze mądrze, a ja wiem, że odchodzić z tego świata po ludzku żal, tak z powierzchni ziemi zniknąć, tak zwyczajnie już nie być, lecz z drugiej strony. Co tutaj jeszcze?

Już wszystko się jadło, piło, gadało, tańczyło na zabawach tutaj, w Maratonie się bywało, który jest i był. I w okolicznych wsiach - Kopanicy, Małej Wsi, Wojnowie, Smolnie Wielkim też się bywało na zabawach. Przy okazji dostało się niekiedy sztachetą po plecach. Cóż. Taką cenę trzeba było płacić za młodzieńczą rozrywkę. Na jezioro Wojnowskie lub w Liniach się jeździło na ryby. Więc spokojnie. Nie wolno mi roztkliwiać się nad sobą, nie wolno. Ja

jeszcze mogę tu i ówdzie, powolutku, z nogi na nogę się pokusić doczłapać. A niech patrzają jak idę. Wokół siebie sobie dają radę zaradzić. Nie jestem zdany na gest, łaskę, upokorzenie, nie jestem po większości od nikogo uzależniony.

Zrobiliśmy, ile mogliśmy zrobić. Wyśpiewaliśmy, co było do wyśpiewania. Wykrzyczeliśmy, gdy kazali. W domu, poza domem, w miejscach pracy. Niech teraz inni na Dolnej, Pocztowej, Browarnej, Różanej, Źródlanej, Klonowej, Polnej, Placu Berwińskiego, na Zamieściu, Babimojskiej, kapitana Więckowskiego, czy Wolsztyńskiej pokazują co potrafią. Śmielsi i mądrzejsi. Jadą już nie wozami konnymi jak jechałem ja, z rzadka jadą rowerem, a ja kiedyś tak codziennie lub pieszko, a oni, młodzieniaszki, już autami z całego świata, brykami wożą swoje dziewczyny, skuterami, motocyklami, siedzą przy komputerach, gadają przez komórki. Oglądają mecze w plazmowych telewizorach. Sprawniejsi, szybsi. Bardziej oświeceni. Kapitan Stefan Więckowski dwieście lat temu, jak podaje legenda, bohaterko zginął pod Ratuszem, broniąc Kargowej i Polski przed Prusakami. Kilku po obu stronach w strzelaninie poległo. Krew wsączyła się w ziemię. Honor został obroniony. I nic to już nie zmieniło w wyrokach historii, tylko legenda została. Może to skarb Kargowej dzisiaj? Ryszard Berwiński, choć nie stąd, to ma placyk nazwany swoim imieniem, bo walczył o wolność, sprawiedliwość, bo gnął dla Polski długo w pruskim więzieniu na Moabicy, ale i do Konstantynopola go zaniósł już później. Ma swoje ulice w Poznaniu, Krakowie, nawet na Azorach. Napisał „Poemat bez końca”, inspirowany „Don Juanem” Byrona. Tak mi córka czytała. Stąd wiem. Był poetą. Jak to dzisiaj przejmująco brzmią jego słowa: „Śmiecie się, tańczcie – szalejcie (...) Pamiętajcie – pamiętajcie, że tańczycie na wulkanie”. Nic ująć. A ja czasem nie mam odwagi patrzeć sobie w lustro. Bo już niczego nie dokonam. Może coś jeszcze chciałbym. Nawet wywnętrzyć się ze swych myśli nie mam przed kim, bo zaraz wyśmieją, albo zaczynają patrzeć z niepokojem, albo ksiądz Szulc powie, że trzeba zaufać Bogu. Śmierć na wyciągnięcie ręki. Nie ta twarz, nie ta ze zdjęcia, kiedy poznałem moją kochaną, piękną Irenę. I sobie ślubowaliśmy. A teraz sam po wielu latach naszego bycia razem zaniósę jej kwiaty w dzień jej imienin, we wrześniu, na grób, na cmentarz przy Sulechowskiej, jak podwiezie mnie córka. A ona podwiezie, bo to dobre dziecko. Nie odmówi ojcu. Czasami uśmiecham się do siebie. Przed tym cmentarzem wielkimi literami, białymi kwiatami napisane jest wśród krwistoczerwonych szalwi słowo „Witamy”. Znaczy się, w Kargowej. To jednak drobiazg, jeden z wielu drobiazgów. A tu taki piękny, sierpniowy dzień nam się zrobił. Niczego dodawać mu już nie trzeba. Niebo nieco mgliste, łagodne baranki wysoko, senne obłoki, które nie zwiastują żadnej burzy. Chyba, że na sam wieczór. Ale do wieczora jeszcze daleko. Liczne stado krów Brambora ciągle popasuje sobie na łąkach. Chce się patrzeć Ciepło.

Patrzę. Wysiadł mężczyzna w roboczym kombinezonie, poszedł na służę coś sprawdzać. Sprawdził i wrócił. Pojechał dalej. Przejechał motocykl. Za nim auto „Nauka jazdy”. Podążają do centrum Kargowej, a tam już pełno wąskich uliczek, pełno aut, znaków nakazu, zakazu i innych. Kiedy idę w stronę miasta ożywa moja pamięć. Ile przez to miasto osobowych pociągów i transportów przejechało. Ile lokomotyw swoim gwizdem dawało sygnał. Teraz sygnał żaden. Przez wszystkie lata, niemal codziennie ulicą Dolną szedłem do miasta. Tam, gdzie pracowałem, tam, gdzie ktoś na mnie czekał w swoim domu. Do Kazia Kubiaka, co z robót w Niemczech tutaj trafił, a potem w „Dąbrówce” pracował. Teraz już bardzo wiekowy, starszy ode mnie. Jego ojciec na wojnie z bolszewikami zginął. Do kościoła z czerwonej cegły św. Wojciecha na Marchlewskiego się szło, do sklepu, na targowisko zaraz na lewo za torami, na stację kolejową, do lekarza do przychodni, na przystanek autobusowy, do kolegów i znajomych, na piwo do baru. Na jednego głębszego w Maratonie. Przed wojną tu kilka browarów było. Niemcy lubią piwo.

Widzę znowu te same, znajome mi, wyniosłe zarysy Kaszarni, młyna, magazynów zbożowych. Gdzieś tu, za torami, po prawej, była zlewnia mleka i mleczarnia. Teraz myjnia

samochodów. Ilu tu Kargowiaków na chleb zarobiło? Każdy zaułek jest mi znajomy. Tu zaczynałem. Uczyłem się w szkole. Potem była praca. A ja lubiłem pracować. Na budowie, na stacji kolejowej, co od domu niedaleko, już od kilku lat niestety nieczynnej, ach, jaki ładny, zwykowny jest to budynek, przy rozładunku cementu, wapna, nawozu lub węgla tam się bywało, żeby tylko przetrwać. Nie da się policzyć tych ton, które przeniosłem na przyczepy i wozy konne. Nic nie stało w miejscu, nikt nie dawał za darmo, jakimiś kombinacjami nikt nie żył. Jak to dzisiaj robią na całego. Nawet jak Gagarin przejeżdżał przez Kargowę, to też zrobił się wielki ruch. Bo może będzie lepiej. Lżej. Wszyscy ciekawi byli zobaczyć pierwszego kosmonautę. Ja też. I gdy nasz wielki wtedy Dom Handlowy otwierali, handlową chlubę miasta, tak samo, mrowie ludzi się zleciało. A co my wiemy o tych ludziach, co wtedy nie przyszli, oni może jak ja teraz nie mieli już sił ani pieniędzy. Tkwili w swoich domach. Wszyscy zdążyli umrzeć. Gabryś, Leszek, Bolek, Franek, Agnieszka, Marysia, kierownik Jarzębski z Mleczarni. Jak teraz umarła Regina Rafińska z Dębowej, niespodziewanie, nagle, młoda, po pięćdziesiątce. W ubiegłym roku jeszcze przygotowała przyjęcie w bibliotece i inne wcześniej. Dzwoni właśnie miarowo kościelny dzwon, słycać, słycać, prowadzi ją na cmentarz w ostatniej drodze może ksiądz Piestrzyński lub inny, do wykopanego już grobu, żeby pożegnać i pogrzebać. Pochować. Są łązy. Jest sierpień pełen słońca. A jej już nie ma. Życie miesza się ze śmiercią. Pracujemy zostawiamy. Następni, co pracują, też zostawiają. Rafińska i każdy inny. Leokadia Kwaśnik też już wszystko zostawiła. Przed samym Bożym Narodzeniem w ubiegłym roku. A pamiętają ją tutaj. Dobra nauczycielka. Moje dzieci polskiego uczyła i wycinanki robić. Jakie ładne Coraz więcej i częściej ludzie młodo odchodzą. Wykończeni stresem. Nerwami.. Powiedziałem córce, bo akurat zatelefonowała do mnie, że wybieram się, jak to od dłuższego czasu planowałem na wielką jak na mnie wyprawę.

Idę Dolną, potem Dworcową, na sam Rynek. Popatrzeć na wszystko. Dom po domu, kamień po kamieniu i w końcu na Ratusz. Trochę tam sobie posiedzieć, pomilczeć. Niech się widoki we mnie odświeżą. Jeszcze chcę. Mijam niskie domki, tynki malowane na żółto, seledynowo, kremowe, błękitne, okna, drzwi, odnowione fasady. Jeszcze raz idę. Po prawej stara stodoła Rzepowskich, której ściany z belkowych kwater wypełnione gliną. Tajemnicza, zagęszczona drzewami, krzewami cała posesja i tryskające kwiatami podwórko. Na nim dwie kobiety. Uroku dodaje wysoki kasztanowiec. Dziesiątki lat i ta glina stodoły nie zszarzała, ciągle trzyma swój żółty kolor. Powinna tu Kargowa przychodzić i ją podziwiać, że tak się kiedyś budowało. Nie zobaczy się takiej stodoły już chyba nigdzie. Piękna. Może ostatnia. I ona kiedyś się skończy. Wszyscy pobudowali się z pustaków, a ona z gliny. W głębi przy drodze do Karszyna sosnowy las, ale mizernie coś rośnie, bo i ziemia mizerna. Już tu się nie dało niczego uprawiać. Piachy jałowe. Przejechał z tamtego kierunku samochód pełen drewna pociętego na metry. Dalej, w głębi ulicy wyniosłe, rozbudowane hale fabryki czekolady Nestle. Dwa tiry z Jugosławi powoli wyjeżdżają załadowane towarem. Stara fabryka słodyczy „Dąbrówka”, należąca do Goplany, bez porównania była mniejsza. A tyle ludzi z Kargowej w niej pracowało. To już legenda Dzisiaj opuszczona, pusta, nic w niej się nie dzieje.

Za torami już skręcam w Dworcową i ulica wiedzie mnie do Rynku. Prosta, długa ulica. Kostka brukowa ułożona równo, solidnie, zabudowa domów niska, po większości fasadowa, jedna kondygnacja, dom w dom, dach do dachu, jeden do drugiego, w ścisłym zwarciu. Jak na obrazach, które już kiedyś, gdzieś widziałem. Tylko niektóre osobno posadowione. Nigdy nie nastrojała mnie taka zabudowa zanadto dobrze. Kiedyś zapewne mieszkali w takich domach kargowscy tkacze. Jakaś nostalgia w niej, choć dostępność każdego domu duża, bo zaraz z chodnika drzwi wejściowe. Niektóre odnawiane, niektóre nie za bardzo. Muszę na chwile przystanąć, odpocznę tylko. To jest ta Kargowa ludzi słabiej zamożnych. Większość tu ulic wokoło ma podobny wygląd. Prawie żadnych przejść pomiędzy nimi, tylko coraz dalej i dalej

nieprzerwany ciąg płaskich fasad, murów, bram, tak do samego końca. Kilka dachów jeszcze pokrytych papą i eternitem.

Dopiero wokół Ratusza, przy którym warują przycięte lipowe drzewa, miasto nabiera bardziej wyrafinowanego wyglądu. Tu czuje się już przestrzeń i nieco zasobność, i większą wykwinność jego piętrowych kamieniczek. Na nie można popatrzeć. Dziewczyny podążają od strony biblioteki z książkami. Jedna w seledynowej bluzce, druga w granatowej. Już za mąż mogłyby wychodzić. Rynek. Pełno sklepów spożywczych, delikatesy z napisem „lekkie delikatnie świeżo”, Biedronka, apteka, biuro rachunkowe, banki spółdzielcze, na rogu Hotel i restauracja, parking. Optyk. Ach, tyle szyldów. Wszyscy się jakoś powciskali i robią interes, czyli pieniądze. Mężczyzna idzie zdecydowanym krokiem na Pocztową. Jest jeszcze pełen sił. Może to przyjezdny. W narożniku Rynku punkt z lodami. Co chwile ktoś kupuje, zresztą nie tylko lody, ale i napoje, może być nawet kawa. Parasole, stoliki. Zaraz za punktem nieco skryty mały zakładzik fryzjerski, w którym dwie miłe dziewczyny za niewygórowaną cenę doprowadzają męskie czupryny do należytego stanu. Jakiś mężczyzna myje wodą i szczotką przystanki autobusowe, to zapewne przygotowanie przed Świętem Czekolady, które na początku września Nestle organizuje w Kargowej. I ściąga w ten sposób sporo przybyszów spragnionych atrakcji. Na afiszu jest napisane, co będzie się działo. Tańce, pokazy, muzyka, motocykle. Nastawiają wiele straganów, stołów, scen, jarmarcznych konstrukcji. Będą się tłoczyć ludzie. Każdy coś zje, wypije, poczuje się rażno. Jestem zmęczony, muszę odpocząć. Jest ławka pomalowana na brązowo. Skorzystam. Usiądę. Widzę tu to wszystko, o czym wiedziałem. Ale dobrze, że znowu widzę. Kiedyś szary był ten Rynek, teraz jest kolorowy. Pełno aut, co cicho jadą. Na ławeczkach, po każdej stronie ustawionych, zwyczajowo siedzą ci, co nie mają pracy, albo już nie muszą pracować. Przychodzą młode mężatki z małymi dziećmi. Siedzą. I tylko się przypatrują wszystkim po kolei. Z daleka widać ich patrzące oczy. Gdzie dawniej był całkiem miły skwer dla wytchnienia, jakby park, teraz pojawił się wielki plac budowy. Cały wysoko i ze wszystkich stron oblachowany, można przez szczeliny jedynie dojrzeć głębokie wykopy, odkryte, stare fundamenty. Przed wojną stał tu budynek banku, który zniszczyła wojna. Teraz będą odtwarzać jego architekturę. Ciekawe, co by o tym powiedział Maciek Kozłowski, o tym swoim chyba ulubionym, kultowym miejscu, jakim zresztą w każdym mieście jest park. Ładnie Kozłowskiego namalowała malarka Agnieszka Kowalska, jego żona, jak siedzi, zresztą ona też, na takiej jakby skrzyni. Czekają. Na dalszym planie ledwo widoczny jest dach gmachu domu kultury i biblioteki przy Browarnej, w którym dawno temu było kino Światowid, przeniesione później na Słodową i zaraz właśnie zacznie się w nim remont. Już ostatni seans będą wyświetlać. Przejścia przez ulice wyznaczone, łańcuchy, słupki, na skrzyżowaniu okrągłe lustro dla kierowców. Zwisają ze słupów pelargonie, pelargonie wokół całego placu, wielokolorowe, na rabatkach znowu przymilne aksamitki i krwiste szalwie i dorodne begonie, co tu będą trwać aż do mrozów. Tak każdego roku. Ktoś dość młody miotłą zgarnia liście przed wejściem do Ratusza.

Ulica Słodowa nie jest długa, tchnie szablonem i podobna szarością do kilku innych. Trochę jakby czas się na niej zatrzymał. Jakaś w niej niedostępność, obcość, martwota, pustka. Płyty chodnikowe, beton krawężników. Przejechał motocykl i zawrócił. Stoi żółte auto. Ładny jest ten balkonik na roku, ale zaniedbany. Tu garaże. A garaże zawsze są brzydkie. Niskie. Nikt znikąd nie wyszedł. Tylko ja idę, bo chcę popatrzeć. Może to sprawa południowej pory. Albo taki moment. Taka głusza tu. Nie chodzi się wtedy nigdzie zanadto. Wszyscy pracują, nikt nie idzie bez celu. To się czuje w środku Kargowej. Ludzie pracują. Mają taki honor. Żadnych długich pogaduszek kobiet lub mężczyzn. Chleba nie dają za darmo. Tu kiedyś mieszkał mój kolega Gabryś. Na tej Słodowej. Ale to nie ma większego znaczenia. Sam już jestem, nikt mnie nie poznaje, bo kto w centrum miasta zna mnie, starego człowieka po zawale, z Dolnej. Nie da się wszystkich znać, ani pamiętać, już kilka pokoleń wszędzie, w każdym domu, urodziło się i wyrosło.. Nie ci ludzie, nie te lata. Inne zabawy. Ile

jeszcze musieli by wydać Kargowskich wspomnień, by podolać nagromadzeniu się faktów, imion, rodzinnych historii i zdarzeń. Powoli idę, powoli oglądam, oglądam. Już w nic specjalnie nie mam siły się głębiej zanurzyć. Starsza kobieta jedzie rowerem. W koszyku zakupy. Wracam do Rynku Pocztową. Pod parasolami dzieci z lodami. Zaraz przyjedzie moja córka Marzena i mnie zabierze. Mam jeszcze trochę czasu. Pooddycham. Może poszedłbym do burmistrza, żeby coś powiedzieć i coś usłyszeć na koniec swojego życia. Ciekawe, co nawzajem byśmy sobie powiedzieli. Ale nie pójdę, ja należę do innego czasu. Tam na ulicy Dolnej, niedaleko Obrzycy, rozumiem każdy kamień, słup, gniazdo, na które kilka razy dziennie rzucę okiem. Znam Kruszyńskich, Witów, Maciejewskich, Skwarków, Waligórow, Lorenców, ich coraz bardziej zadbane domy, ogródki i obejścia, nowe dachy, okazałe bramy, murki, podmurówki, żelazne ogrodzenia. Nocą widzę na niebie gwiazdy. I one być może też mnie widzą.